

premiera przed i po

Pomyłka

Janusz Majcherek

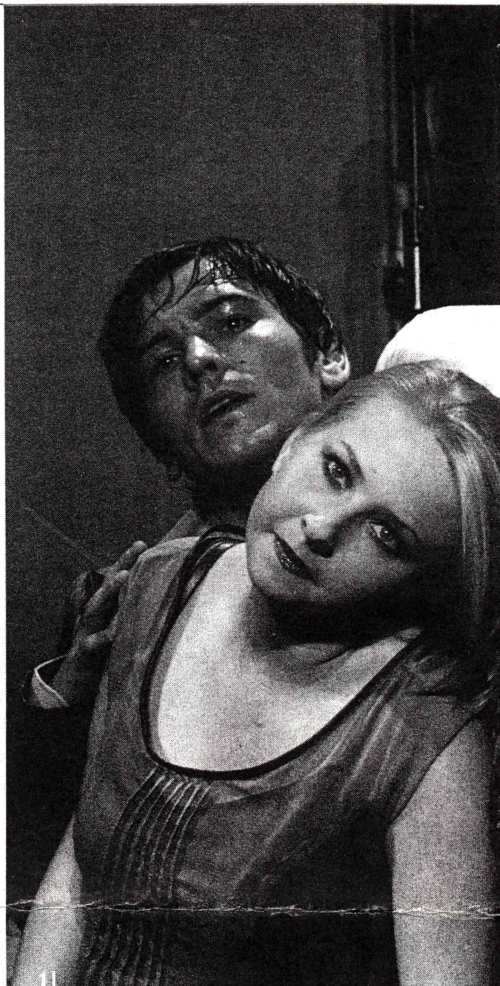
Parafrazując tytuł sławnej w swoim czasie książki, zapytałbym: „Czy artyście wolno się wkurzyć?”. Wolno – pod warunkiem, że artysta potrafi dokonać transformacji i złość (która jest emocjonalnym zamętem) zamienić na formę (która jest intelektualnym porządkiem). Piotr Cieplak wkurzył się, powiedziałbym, mało artystycznie. Dla zrozumiałego i słusznego odruchu sprzeciwu wobec coraz bardziej otaczającej nas rzeczywistości nie znalazł ekwiwalentu, który by zajął nas myślowo i estetycznie. To, co pokazał w Teatrze Powszechnym, jest zaledwie bluzgiem, w którym polityczna wściekłość i szyderstwo społeczne mieszają się z ekologicznym sentymentalizmem w sposób, jaki przystoi felietonowi lub publicystyce, lecz nie dziełu scenicznemu poważnej rangi. A bądź co bądź Cieplak do takiej rangi swojego teatru zdążył nas przyzwyczaić.

Jesteśmy z Cieplakiem prawie rówieśnikami i parę teatralnych zjawisk wspólnie nas formowało. Z pewnym wzruszeniem patrzyłem, jak w spektaklu „Albośmy to jacy, tacy...” reżyser składa hołd Teatrowi Ósmego Dnia, próbując przywołać zarówno etykę aktorów, jak i estetykę przedstawień, które oglądaliśmy, czasami w warunkach półkonspiracyjnych, u schyłku lat siedemdziesiątych i w latach osiemdziesiątych. Zarazem jednak coś w tym patetycznym *hommage* mnie, nie ukry-

wam, śmieszyło – bodaj po raz pierwszy, a śledzę twórczość Cieplaka niemal od początku i bardzo ją cenię. Otóż śmieszne przez swoją niestosowność (w sensie: brak *decorum*) wydało mi się udawanie, że na ruinach Teatru Powszechnego (który, owszem, w czasach „Sprawy Dantona” czy „Spiskowców” bywał żywym teatrem politycznym), z aktorami w większości tkniętymi rutyną, można stworzyć bardzo osobistą, nasconą etycznym zaangażowaniem wypowiedź teatralną, która by chlasnęła społeczeństwo w pysk, nie przymierzając jak „Przecena dla wszystkich” czy „Ach, jakże godnie żyliśmy”. Próby powtórzenia pewnych charakterystycznych dla Ósemek scenicznych gestów przez aktorów takich jak Kazimierz Kaczor są, oględnie mówiąc, chybione. Kaczora wolę jako głowę drobnomieszczańskiej rodziny w „Słomkowym kapeluszu”, bo tam jest właściwym aktorem na właściwym miejscu, a tutaj nie.

Najlepiej może w tym wszystkim wypada struktura muzyczna, co akurat u Cieplaka nie dziwne, choć psalm opiewający faunę i florę doliny Rospudy uważam za pretensjonalne i sentymentalne badziewie, o krok od Rubika.

Krótko mówiąc: pomyłka, wypadek przy pracy. Najslabsze ze znanych mi przedstawień Cieplaka. Ale to w niczym nie zmienia mojego o tym reżyserze dobrego zdania. ■



Oj, dziś dziś

Piotr Mitzner

Po premierze w Teatrze Narodowym, w styczniu 2000 roku, wydawało mi się, że ponieważ wszystko ma swój czas, więc i czas „Wesela” przeminął. Potem patrzyłem już na inscenizację Grzegorzewskiego inaczej, nie żądając od niej odpowiedzi na pytanie o Polskę współczesną, rozumiejąc autonomię wizji reżysera.

Piotr Cieplak wystawił swój esej na temat „Wesela”, tak jak je czyta dziś. Nie aluzyjnie, ale poprzez nasze doświadczenia, naszą wrażliwość, naszą irytację. Zabiegi są ostre, brutalne. Nadające? Nie – podkreślające ostrość i brutalność



myśli Wyspiańskiego. Wyraziste na tle tradycyjnej interpretacji, której fragmenty docierają do nas z głośnika. Nie myślę, by język współczesny użyty przez Cieplaka był bardziej wulgarny od niektórych słów padających w tekście autorskim. Pomyślmy, jak w roku 1901 brzmiały słowa: „gówno” i „usroł się”.

Trudno oczywiście w krótkim tekście opisać, na czym ta różnica polega, bo nie wystarczy odnotować, że zamiast krakowskich „taneczaków” mamy pastisz dyskotekowej lupaniny, zresztą bardzo wpadający w ucho (i ten fakt dopiero robi wrażenie!). Miłosne frazy „Wesela” zastąpione zostały znakomicie zagrana sceną zalotów dwojga młodych gadających o niczym, dialogiem dowodzącym kryzysu słowa, choć nie kryzysu uczuć. Ale o tym też jest u Wyspiańskiego.

Jakie jeszcze są punkty wspólne? Czekanie na cud – tyle że bardziej niechłujne, niezgrabne. Przeszłość, która potrafi być groźna. O tym, że trupy wychodzą z szaf i wtrącają się w nasze życie, przekonujemy się co chwila, a po seansach odzyskiwania przeszłości, po krzykach, jesteśmy zmę-

czeniu. Właśnie tak, jak ci ludzie w drugiej części spektaklu Cieplaka. Nie do tańca nam i nie do wiersza.

Jest w „Albośmy to jacy, tacy...” idea ciągłości – i to na kilku piętrach artystycznej konstrukcji. Po pierwsze – postaci tworzone są z rozmaitych, nieskładnych elementów, ze strzępów tekstu i etiud, postaci o wyraźnej osobowości, losie, czy przesłaniu. Myślę tu przede wszystkim o rolach Mariusza Benoita, Kazimierza Kaczora, Andrzeja Piszczatowskiego czy Piotra Ligenzy.

Po drugie – Cieplakowi udało się mocno związać tradycję „Wesela” (tematyczną, anegdotyczną) ze współczesnością. Nie poprzez aktualizację, ale respektując upływ czasu, zmienność znaczeń. Temu między innymi służą czytane na końcu z offu biogramy bohaterów zdarzenia w Bronowicach – przykłady polskich losów, co najważniejsze nie tak bardzo odległych. Przecież niektórzy z tych ludzi umarli w latach siedemdziesiątych.

W „Albośmy to jacy, tacy...” jest też warstwa odwołująca się do sprawy zasadniczej, to znaczy do wieczności. Stąd słowa z, tak ważnej dla reżysera, „Księgi Koheleta” i otwierający spektakl prolog do „Akropolis” (po procesji rezurekcyjnej wierni wyszli ze świątyni, pozostawiając dym kadzidel i ciężar ołtarza-trumny dźwigającym ją aniołom), a wreszcie zamykająca całość melodia „Christus vincit”. Ta ostatnia podpowiada mi dwa znaczenia. Każę patrzeć na kicz, brzydotę, gniew i piękno, których przed chwilą doświadczyłem z perspektywy znanej skądinąd kwestii: „Galilae vicisti!”. Ponieważ jednak spektakl jest chwilami tak bardzo aktualny, przypomina mi się niedawny wniosek o przywrócenie w Polsce monarchii i osadzenie na tronie Pana Jezusa. ■

Piotr Mitzner – zastępca redaktora naczelnego pisma „Nową Polskę”; autor m.in. książki „Hania i Jarosław Iwaszkiewiczowie” (2000) oraz tomu poezji „Pustosz” (2004)

1 | Scena zbiorowa; fot. Dariusz Senkowski